

Rejon Wołomina

Zmierzch okupacji niemieckiej zapowiadały odgłosy zbliżającego się frontu wschodniego. Nocą leciały samoloty i bombardowały mniej lub bardziej skutecznie linie komunikacyjne.

Wołomin położony o 18 km od Warszawy został zajęty nagle przez wojsko sowieckie około 26 lub 27 lipca 1944 r. Wydawało się nam, że przyszedł kres cierpień narodu, że nastąpiło wyzwolenie. Żołnierze sowieccy rzucali wezwania do walki z Niemcami, do odwetu, proponowali broń, amunicję. Trwało to 4 dni, potem nadeszła armia pancerna "Reinefarta", która zepchnęła i rozbiła czołgi sowieckie. Jednak czołgi te doszły do miejscowości Marki i tu były do końca lipca wzywając ludność do powstania. Czołgów tych było około 100-150 sztuk. Brak było piechoty - tylko nieliczne oddziały. Sprzęt, w jaki byli wyposażeni żołnierze był pochodzenia USA.

Niemcy w pierwszych dniach sierpnia nacierając z kierunku Jabłonna zajęli Wołomin i okopali się tworząc linię mniej więcej od Mińska Maz. w kierunku na Łochów. Taki stan trwał do końca sierpnia, po czym nastąpił stopniowy powolny napór wojsk sowieckich, spychający Niemców w kierunku do Wisły.

Około 10 września wojska sowieckie ponownie zajęły Wołomin. Warszawa Praga została zajęta od strony południowo-wschodniej z kierunku Lublina.

Przez pierwsze kilkanaście dni w Wołominie była władza czysto wojskowa, dość tolerancyjna w stosunku do ludności i miejscowych organizacji. PPR zorganizowała milicję oraz coś w rodzaju Rady. W Wołominie było około 25% stanu ludności, ponieważ mieszkańcy zostali wysiedleni przez Niemców na początku września.

Stopniowo ludzie powracali.

Głównie w połowie października rozpoczęła działalność NKWD w Wołominie. Główny jej posterunek mieścił się przy ulicy Polnej, tam gdzie znajdował się również urząd taw. Komendanta Wojennego Miasta oraz posterunek M.O. Natomiast przy ulicy Piaskowej w Wołominie zamieniono na areszt dom i budynki gospodarcze z piwnicami. Tu do piwnicy na Piaskowej byli doprowadzani mężczyźni - "oskarżeni o przynależność do AK".

Tu odbywały się pierwsze przesłuchania: pytano mniej więcej następująco:

1. Dane personalne i pseudonim.
2. Czy należał do AK lub innej organizacji.
3. Jeżeli tak - działalność w organizacji stopień itd, czy na broń i gdzie ona się znajduje.
4. Kto jeszcze należy do organizacji AK lub innej.
5. O kim się wie, że należy, lub przypuszcza, że należy, jego funkcje itd.
6. Czy otrzymywał pracę podziemną - od kogo itd.
7. A czy taki to a taki - nazwisko - należy do AK.

Przesłuchania trwały długie godziny, po czym aresztowanych zamykano w piwnicy w całkowitych ciemnościach, 2 razy dziennie wyprowadzano do ubikacji i dwa razy dawano chleb i zupę. Doprowadzony człowiek był poddany szczegółowej rewizji. Zabierano mu wszystkie posiadane przedmioty łącznie z paskiem od spodni.

Po skończonym wstępnym przesłuchaniu NKWD-ysta sporządzał protokół / na bardzo jakościowo słym papierze / w języku rosyjskim, nie znany w tym czasie ludziom młodym i w związku z tym cały szereg zwrotów był niezrozumiały lub tylko częściowo zrozumiały przez zatrzymanych. Protokół należało podpisać na każdym z czterech boków prostokątnej kartki formatu A-4, który uprzednio w języku rosyjskim odczytał NKWD-ysta. Co czytał zrozumiałe było w 30%.

- Kto trafił na ul. Piaskową w Wołominie i skąd NKWD posiadała informacje o poszczególnych ludziach, że mogą pracować w AK ?

- Przede wszystkim na podstawie list nazwisk i adresów podawanych przez członków PPR oraz wywiadowców NKWD, którzy działali na terenie m. Wołomina od 1943r lub wcześniej i zbierali informacje o AK i innych organizacjach a szczególnie o ludziach, którzy stanowili aktywny trzon tych organizacji. Na marginesie trzeba stwierdzić, że na "Piaskową" mógł trafić każdy, na kogo padło z ust PPR-owca pomówienie o jego przynależności do danej organizacji.

Ponadto przez Piaskową przechodziła inteligencja polska, która w okresie międzywojennym aktywnie uczestniczyła w życiu społecznym lub państwowym.

Nie musieli być członkami w/w organizacji - wystarczy że PPR-owy lub inni skłonni do donosów lub pomówień ludzie, wskazali, że taki to człowiek był przed 1939 rokiem wśród czynnej inteligencji, brał udział w społecznych pracach lub uroczystościach, względnie był na stanowisku państwowym. Powiedzieć o nim, "nie podoba mi się obecny system" wystarczyło, aby trafił na ulicę Piaskową i po-
dzielił los wszystkich zatrzymanych tam AK-owców. Na odbywających się w tym czasie zebraniach PPR zawsze był taki człowiek, który pytał zebranych czy ktoś może wskazać nazwisko członków AK lub innej organizacji, albo może zna kogoś, kto przed 1939 rokiem miał jakąś posiadłość lub stanowisko w administracji państwowej. Było to potrzebne rzekomo do proponowania współpracy lub powołania do wojska w przypadku żołnierzy i oficerów AK lub innych organizacji. Podanie takiego nazwiska zawsze powodowało aresztowanie danej osoby.

Rejon Siedlce

Na początku lata 1944 /lipiec/ front Wschodni przybliżył się do rejonu siedleckiego. W tym czasie nasiliła się propaganda sowiecka wzywająca do powstania. Kilkakrotnie w polu w rejonie Siedlec znajdowano ulotki wzywające do powstania.

Wojska sowieckie zajęły Siedlce 31 lipca 1944 roku. Po ich wkroczeniu rozpoczęła działalność NKWD. W pierwszych dniach aresztowano Rosjan, którzy byli uciekinierami z transportów niemieckich do Rzeczy lub jeńcami wojennymi zbiegłymi z oflagów. Ludzi tych przechowywali rolnicy lub inni Polacy na terenie Siedlecczyzny. Następnie rozpoczęły się aresztowania i poszukiwania byłych oficerów WP, członków AK i innych organizacji. Poza PPR zatrzymanych dostarczano do więzienia w Siedlcach.

Pierwsze przesłuchania prowadził niejaki Grodzki - były nauczyciel, członek PPR i oficer NKWD. Następuje rozdzielanie ludzi do cel. Niektórych zatrzymanych - przypadkowych ludzi zwolniono do domu, innych umieszczono w ciemnych celach o oknach zasłoniętych kocami. Przesłuchania odbywają się non-stop - podczas przesłuchań zdarzają się pobicia w celu wymuszenia odpowiednich zeznań.

Byli przesłuchiwani wspominając, że stosowano "najlepsze" gestapowskie metody.

Około 10 lub 11 listopada załadowanych więźniów w liczbie około 100 wywieziono do Sokołowa Podlaskiego. Przed załadunkiem na samochody ciężarowe poddano ich kolejnej szczegółowej rewizji rabując resztę wartościowych przedmiotów, następnie ładowano do samochodów brutalnie sadząc jednego w kroku drugiego. Rossadzający NKWD-yści zachowywali się orydydnarnie pomagając sobie pięściami i kolanami. Ciasno ubite ludźmi samochody powiozły pierwszy transport do Sokołowa. Puste cele zapełniły się niebawem nowymi oficerami. Stara "gubernska tura" rozzerwowała w tym czasie 300 miejsc dla "politycznych".

W Sokołowie Podlaskim

W Sokołowie - w byłych magazynach poniemieckich znajdował się punkt zborny więźniów z różnych stron: z okolic Warszawy, Lublina, Rzeszowa, z całej części Polski zajętej w tym czasie przez wojska sowieckie, wszyscy oskarżeni o "przynależność do AK". Były magazyny na terenie otoczone ^mpasami drutów kolczastych to budynki półstałe o wymiarach 50 x 20m pod dachem ale zamiast podłogi goła ziemia. Tu spędzono ludzi, całe setki ludzi / z każdą godziną kolumny samochodów dostarczały nowych / - a pod koniec ^{dnia} 11 listopada było nas kilka tysięcy.

Rozpoczęto ponowną rewizję i dalszy rabunek wszelkiego dobra, które jeszcze było w zakamarkach ubrań, wygodniałych i zmarzniętych ludzi. Po rewizji rozpoczęło się wyczytywanie nazwisk z list ułożonych według alfabetu rosyjskiego. Teraz staliśmy poza barakami na deszczu ze śniegiem. Po usłyszeniu swego nazwiska, imienia i imienia ojca należało się szybko zgłosić do przegrody, gdzie stali "selekcjonerzy" i oni przez zbitą z desek furtkę przepuszczali do drugiej części obozu, skąd następował załadunek do wagonów towarowych pociągu.

* Ale nim to nastąpiło staliśmy na deszczu ze śniegiem około 2 doby w zwartej grupie. Nie wolno było się oddalić, bo za plecami "bajcy" gonili do środka. Nazwiska wyczytywał tylko jeden NKWD-ysta / na zmianę, ale jeden/

i wyczytanego przepuszczano do drugiej części. Najgorzej przeszli ci, których wyczytano na końcu - stali w błocie po kostki ponad 2 doby.

Zostaliśmy zakodowani w trzy transporty, w wagony towarowe, które miały drzwi i okna zamknięte i nadrukowane. Na stopniu pomiędzy wagonami stał żołnierz z karabinem. W wagonach środkowa część była wolna, natomiast po obu końcach była przegroda z desek tzw. nary. Ładowano po 40 osób do jednego wagonu. Na narach i na podłodze wagonu umieszczani ułożyliśmy się na boku jeden obok drugiego.

Sokolów Podlaski - Borowicze

Pociągi ruszyły. Po kilku godzinach obudziliśmy się skostniałi z zimna. Pociągi jechały w nieznanym kierunku. / Potem okazało się, że przez Mińsk Litewski, Smoleńsk, Wielkie Łuki do miejscowości Borowicze tj. na linię kolejową Leningrad - Moskwa, w kierunku na Archangielsk w pobliżu rzeki Keta około 1700 km od Warszawy/.

Zrozumeliśmy, że nie jedziemy do punktu stornego, gdzie, jak nas informowano, zostaniemy wcieleni do wojska, lecz na tzw. "białe niedźwiedzie" gdzieś na szesanie. Dlatego około Białej Podlaskiej nastąpiła próba ucieczki z jednego wagonu. Pociąg został zatrzymany, ilu uciekło - nie wiemy, czy wszyscy zostali złapani - nie wiadomo. Natomiast wiedzieliśmy, że złapani zostali na miejscu zastrzeleni w bliskości wagonów tak, żeby wszyscy byli świadkami. Wzdłuż wagonów chodzili oficerowie i ogłaszali, że każda próba ucieczki będzie karana śmiercią. Dla tych, co dotąd nie wierzyli pogłoskom stało się jasne, że wpadliśmy w ręce oprawców, dla których to, że walczymy z Niemcami o wyzwolenie Polski jest wystarczającym powodem, by traktować nas jak swoich wrogów.

Pierwsze kilka dni, i tu liczba dni jest zależna od przypadku, niejednokrotnie dla wszystkich transportów wagonów, nie otrzymaliśmy ani picia ani jedzenia. Pociąg jechał, a w nim zamknęci ludzie, stopniowo coraz więcej wyczerpani, głównie z powodu braku wody. Wsiągnięci to od Mińska Ł. już występowało około -10° mrozu. Wielu było niedostatecznie ubranych - przecież zabierano ich z domu itp. tak jak stali, najczęściej nie przygotowanych na takie

Wagony tworzone pomimo zaizolowanych okienek i mocno zamkniętych drzwi były dostatecznie przewiewne aby temperatura wewnątrz nie różniła się zbyt od zewnętrznej. Transporty jechały wolno, ale niemal bez przerwy, około 12 dni, niektóre krócej.

Jeden z transportów, który wyruszył z okolic Rzeszowa i którego trasa prowadziła przez Kijów jechał najdłużej. Przybył na stację w Borowiczach około 10 dni później od ostatniego transportu z Sokołowa. Transport ten był najtragiczniejszy. W Borowiczach wyładowano z niego 300 martwych mężczyzn 300 byłych partyzantów AK, ludzi młodych i silnych, zamordowanych mrozem, głodem i pragnieniem.

W innych transportach nie dochodziło do tak wielkich tragedii, ale w każdym były wypadki śmiertelne z powodu ciężkich warunków oraz zastrzeżeń: w sumie przypadków tych było około 20 w każdym transporcie. Dziś nie dałoby się ustalić dokładnie ilu zginęło w transportach ludzi.

Pociąg po kilku dniach zatrzymał się w rejonie miejscowości Borysów. Konwojenci otwierali poszczególne wagony i kazali wychodzić po jednym z wagonu, wręczono im po 2 wiadra i poprowadzono obok wai do jeziora /stawu/, na którym leżał lód gruby około 5 cm. Po wyłazaniu przerebli nabierano w wiadra wodę i noszono do wagonów. Nie można ustalić czy wszystkie wagony otrzymały ten skąpy przydział wody. Jednocześnie następni ludzie z wagonów zostali wytypowani do roznoszenia prowiantu. Poprowadzono po przydział sucharów i słonych śledzi. Prawdopodobnie nie wszyscy otrzymali wodę i suchary, bo pociąg stał pod sygnałem i szybko ruszył, gdy dostał zielone światło. Ludzie gonieni przez konwojentów musieli przerwać zaopatrzenie. Następny postój i zaopatrzenie wagonów odbyło się na stacji Bożagoje- przebieg zaprowiantowanie było podobny jak na pierwszym postoju.

W sumie bardziej niż głód dołuzowało ludziom pragnienie. Wewnątrz wagonu na niektórych śrubach osiadał biały szron, do lizania tego szronu była ustalona kolejka, po zlizaniu szronu stanowiącego kilka kropel wody trzeba było czekać około 20 minut na osadzenie się nowego szronu.

Po około 10 - 12 dniach jazdy dotarliśmy do stacji Borowicze. Tu ponownie nas przeliczono i ustawiono w kolumnę piątkami / w ten charakterystyczny dla NKWD szyn / i w zimoci śnieżnej popędzono nas za miasto w zasypaną śniegiem pustą przestrzeń. Mroz sięgał -15° C na co nie byliśmy przygotowani, ponieważ większość nie miała dostatecznego odzienia. Jednak jeszcze byliśmy silni i te około 10-14 km przebyliśmy do zaroku do obozu w Szepietowie.

W ŁAGRACH OKRĘGU BOROWICZE

Ogólny opis łagrów

Nie wszystkie transporty poszły do Szepietowa. Do połowy grudnia 1944 r w rejon Borowicz zesłano około 5600 - 6000 Polaków, w tym 50 kobiet. W transporcie jadącym przez Kijów zmarło 300 osób. Ponadto kilkadziesiąt zginęło podczas prób ucieczki i zmarło z trudów podróży: w tym również osoby zmarłe w transporcie-poszkodowane w pożarze baraku zamienionego na więzienie na terenie huty szkła w Tłuszczu pod Warszawą.

Początkowo rozmieszczono nas głównie w Szepietowie / około 1600 osób / i Jagły /około 2000 osób/. Były to łagry odległe o 12 - 14 km od Borowicz. Trzecim obozem był łagier miejski zwany przez jeńców niemieckich Stadtlager. Łagiernicy Szepietowa i Jagły zatrudnieni byli przy wyławianiu i załadunku spławianego drewna, przy wyrobie stempli i innych elementów dla kopalni, w stolarniach i w pracach rolnych. Z łagru miejskiego brano ludzi głównie do pracy w cegielni i tartaku.

W lutym 1945 r. pierwsze grupy polskich łagierników z Szepietowa i Jagły skierowano do pracy w kopalniach. Przeniesiono ich do łagru zwanego "Szachtlager". Do tej pory w tym łagrze byli głównie jency niemieccy. Potem powtarzało się to co kilka miesięcy, a dotyczyło najzdrowszych ludzi. Również i z obozu Stadtlager co silniejszych kierowano do szachtowego łagru.

Był też obóz "Waldlager", do którego odsyłano łagierników, wyeksploatowanych w kopalniach obozu Szachtowego.

Komendantem każdego łagru był oficer NKWD w stopniu od lejtnanta do majora. Podlegał dowódcy okręgu łagrów mającego siedzibę w Borowiczach.

Komendant do pomocy miał oficera do spraw politycznych oraz kilku oficerów i podoficerów, wśród nich - dowódców: garnizonu, wart i konwojentów. Wamie straż obozowa wynosiła około 50 osób.

Sowiecki komendant miał również do pomocy komendanta obozu - łagiernika. Początkowo był to jeniec - oficer lub podoficer niemiecki. Po kilku tygodniach miejsce to zajmował wyznaczony przez sowietów oficer polski.

Na niższym szczeblu byli wyznaczeni komendanci baraków - łagiernicy.

Do pracy dzielono nas na brygady tzw. "wzwoody" które w zależności od potrzeb miały liczebność od piętnastu, dwudziestu do sześćdziesięciu osób.

Do pobierania żywności, oraz spania na narach byliśmy podzieleni na dziesiątki. Taka dziesiątka otrzymywała z kuchni w drewnianym wisderku zupę oraz 10 kromek chleba i po przyniesieniu do baraku wyznaczony kolega rozdzielił zupę i chleb.

Po kilku miesiącach zostały też utworzone komendy batalionów z łagierników, ale nie miały one nigdy większego znaczenia w organizacji obozowej.

Do apelu stawaliśmy dwa razy dziennie w szyku barakami, szeregi ustawione piątkami. Sowiecki dyżurny oficer szedł od baraku do baraku i przyjmował meldunek o liczebności od komendanta baraku, a następnie sam liczył piątki. Po zsumowaniu, w przypadku zgodności stanu dawano sygnał do rozejścia się.

W każdym obozie było około 10 baraków mieszkalnych. Ponadto - barak, w którym mieściła się kuchnia, barak przeznaczony na szpital a w nim izba przyjęć chorych i rodzaj gabinetu zabiegowego oraz barak gospodarczy, w którym mieściły się warsztaty krawieckie, szewskie itp. Był też mały budynek przeznaczony na areszt wewnętrzny, bunkier - karcer no i wartownia. Pozostałe budynki to "bania" - łaźnia z odwaszalnią oraz dwie lub trzy zbiorowe ubikacje. Obozy były podobne pod względem wielkości i urządzeń. W każdym przebywało od 1800 do 3000 łagierników, a w okresie tworzenia kołchozów podobno nawet do 5000 ludzi.

Strzał obozowa nieoszkała nazewnątrz obozu: kadra - w domach, czasem z rodzinami. Zwyczajni wartownicy byli skoszarowani.

Głód i epidemia

Gdy przybyliśmy do obozu w Szepietowie, wyjaśniono nam, że jako nie pracujący otrzymywać będziemy 60 dkg chleba, jedną łyżkę cukru i trzy razy dziennie supę, co zapewni każdemu potrzebne do życia 1100 kalorii. Choć faktycznie wszystkich obowiązywała ciężka, fizyczna praca w rzeczywistości nie otrzymaliśmy nawet tych 60 dkg chleba bo po drodze rozdaniu byliśmy okradani, tak że docierały do nas co najmniej o 15-20% mniejsze porcje, w dodatku chleb był nadmiernie wilgotny. Zupa - była osoloną wodą, przeważnie z dodatkiem odrobiny kapusty, czasem zmarzłych kartofli innym razem maki czy kaszy. Ale była to głównie woda z solą i służyła przede wszystkim do napięcia się. Dostawaliśmy też płaską średniej wielkości łyżkę cukru. W sumie, w zależności od okresu w wyżywieniu tym nie było więcej jak 600 do 800 kalorii. W porcjach wyżywieniowych najbardziej brakowało białka. Była to robota celowa, oparta na naukowych podstawach stosowania techniki głodu dla wychowania elementów opornych w społeczeństwie rządzonego przez komunistów. Człowiek poddany terapii głodu traci szybko ze swego ciała 90% tłuszczu. Skutki było widać na nas. Właśnie podczas pierwszej kąpieli bez ubrania mogliśmy na siebie wzajemnie popatrzeć i stwierdziliśmy, że wyglądamy niemal jak kościotrupy. Znać było na nas każdą kość, nogi mieliśmy cienkiewychudke. U tych którzy byli poprzednio nieco otyli cienka skóra z brzucha zwisała nisko poza genitalia. Ale byli już i tacy, których ciała zakręgliły się nabrzmiałe wodą, ich stan zdrowia i siła był znacznie gorszy niż pozostałych.

Tu po raz pierwszy usłyszeliśmy słowo dystrofia i poznaliśmy jej kolejne stadia: ^{zanik} zanik tłuszczu, stopniowy zanik mięśni i ciążek krwi a następnie powolna śmierć. Trzeba stwierdzić, że dla nas nieprzyzwyczajonych do tak ostrego klimatu, gdzie temperatura - 20°C była przeciętna a często występowała i znacznie niższa, założone 1100 kal. w wyżywieniu było dawką obliczoną na wyniszczenie. Co pewien czas, co kilka miesięcy, przeprowadzano kontrolę stanu zdrowia.

Wyglądało to tak, że przed grupą sowieckich pseudolekarzy / faktycznie felczerów w białych kitlach/ trzeba było się pokazać nago. Oglądając niegęnie pośladków badali stan zaawansowania dystroficznego w obozie. Oceniali zapewne, czy da się tych ludzi wychować głodem dalej, czy też już następuje moment masowej śmierci. Technika głodu opracowana i udoskonalona praktycznie w obozach koncentracyjnych Związku Radzieckiego w końcu lat trzydziestych, polegała na nie dostarczaniu organizmowi ludzkiemu przywajalnego białka, którego winno być 60 - 70 g dziennie. W produktach pokarmowych obozowicz otrzymać około 17 g białka dziennie. Niedostatek białka działa na centralny układ nerwowy człowieka, wywołując "zanik uczuć wyższych". Powoduje to zmiany charakteru człowieka - człowiek przestaje się buntować, staje się wygodnym autematem do wykorzystania poleceń władz. Według badań sowieckich lekarzy zmiana w charakterze człowieka dokonuje się, gdy dochodzi do zaniku mięśni w pośladkach i stąd te okresowe badania polegające na przeglądzie stanu pośladków łagierników przez tzw. komisję lekarzy. Według ich teorii w celu osiągnięcia zakładanych zmian w charakterze człowieka wyniszczenie organizmu głodem trzeba przeprowadzić 3 - 4 razy. Stąd ta ciągła o nas troska ze strony lekarzy sowieckich, co miesiąc przed komisją lekarzy każdy obozowicz musiał nago wykonać przysiad celem obejrzenia pośladków i tym samym stwierdzenia czy cel już został osiągnięty.

Warunki żywienia i higieny mniej więcej po 4 miesiącach pobytu przyczyniły się do występowania masowo biegunki i następnie czerwotki. Epidemia czerwotki występująca od marca 1945 roku spowodowała np. w obozie szachtowym do 20 - 40 zgonów dziennie. We wszystkich obozach było podobnie. Zgony wywołane epidemią w Szepietowie, w Jęgle i Stalagrze wynosiły do 20 osób dziennie. W ten sposób od marca 1945 do lipca 1945 roku w obozach tych zmarło głównie na czerwotkę około 1000 osób z grupy przemieszczonej z Polski w listopadzie 1944 roku. Największa śmiertelność wystąpiła w obozie szachtowym, gdzie w tym okresie, tj. do czerwca 1945 roku, zmarło około 400 osób. Przyczyniła się do tego epidemia czerwotki oraz wyniszczenie organizmów ciągłą prąsą na mrozie / od 7 rano do 16 a nawet 18 godz. ~~winteru~~/, co powodowało zapalenia płuc i gruźlicę.

Po za tym w barakach zagniożdżyły się pluskwy, które nacią wypijały krew ze śpiącego krańcowo wyczerpanego człowieka. Pluskiew była taka masa, że aż strach było spojrzeć w szpary i zakamarki przyz oraz bierwion drewnianych baraków.

Po latach trudno ocenić, ile w doprowadzeniu ^{do} tego masowego mordu było premedytacji zaplanowanego działania super fachowców z NKWD od zadawania tego typu śmierci, a ile przypadkowości.

Chocąc ratować się, ci, którzy zachorowali zaczęli stosować lekarstwo własnego pomysłu a mianowicie głód węgiel drzewny. W pierwszej fazie choroby, przy biegunce, należało przez dwa trzy dni nie jeść i opanować to straszne uczucie łaknienia, bo przecież doprowadzono nas do takiego stanu, że nie myśleliśmy o niczym innym tylko o jedzeniu. Byliśmy tak bardzo wychudli i osłabi, że każdy większy wysiłek stwarzał nam trudności. W takich warunkach, chcąc zachować życie, chorzy koledzy musieli zdobywać się na jeszcze większe poświęcenie i przestać jeść, nawet te niewielkie ilości chleba i zupy. Wówczas jelita w człowieku tak jakby zasypiały, następowało zahamowanie odślawiania jelit i choroba ustępowała. Jeżeli miał ktoś warunki mógł przydzielać chleb suszyć i w zakamarkach swego odzienia przechowywać go na okres po chorobie. Jednakże często następowały kradzieże przez współtowarzyszy tak przechowywanych sucharów. Był to okres największego zakamania moralnego. Po upływie roku sytuacja uległa znacznej poprawie, w większości przypadków zdołaliśmy panować nad sobą. Ale to pierwsze pół roku ^{cały} 1/2 - 3 miesięcy cierpieliśmy z powodu głodu najbardziej. Wazy, pluskwy, nawet mróz nie dawały tyle cierpienia co głód. I tak maltretowany człowiek musiał jeszcze zadać sobie sam dodatkowych cierpień - przestać całkowicie przyjmować nawet te niewielkie przydzielone ilości pokarmu. Nie było innych lekarstw na terenie obozów. W każdym obozie było tak samo - całkowity brak lekarstw przeciw biegunce i czerwonce, grypie i zapaleniu płuc, pomimo tego, że wewnątrz obozów znajdowały się szpitale. Byli tam lekarze polscy, byli sowieccy lekarze, sanitariusze i sanitariuszki - ale nie mieli lekarstw. Co miesiąc lekarz naczelny szpitala w obozie szachtowym otrzymywał następujące leki:

- 2/ Niewielkie ilości kalichaparmanganikum
- 3/ węgiel drzewny - własnej produkcji.
- 4/ trochę opatrunków.
- 5/ narzędzia chirurgiczne produkcji obozowej.

To było wszystko, czym dysponowali lekarze, na około 2000 ludzi w obozie. Na prośbę o dostarczenie² potrzebnych lekarstwu władze obozowe odpowiadały - "Nie na". Dziś po czterdziestu latach działania tego systemu znany to słowo "Nie na". Słowo zamykające wszystko i stanowiące sens tego systemu. I dlatego też ten z obozowiczów kto zachorował na biegunkę i nie zdołał znieść sobie tego dodatkowego cierpienia - musiał umrzeć.

Gdy rano staliśmy pod bramą w szeregach piątkami i czekaliśmy na otwarcie bramy, z kostnicy przy szpitalnej wyjeżdżały wozy, w zaprzęgu żagiernicy /saliczeni do tych na funkeji/ na wozach nagie wychudłe półszkielety ludzkie. Staraliśmy się dowiedzieć, ilu dziś - 20 czy więcej. Nikt już nie pytał, kto zginął. Byliśmy tak załamani, a w zasadzie przytkoczeni liczbą egonów, że ciekawiło nas, stojących pod bramą, tylko to "ilu dziś znajduje się na wozach". Zdawało się, że wszystko jest już nieważne. Zmarłych, a raczej zamordowanych, wywożono za obóz na górkę i tam grzebano w płytkich wykopach. Grupa grabieży, choć dostawała dodatkową supę, nie była na tyle silna, aby wykopać głębiej jak 50-60 cm tej zmarniętej na skałę ziemi, a smarłina kończyła się dopiero na głębokości 2 m. Poza głodem i czerwinką kolejnymi przyczynami tak wysokiego umieralności młodych mężczyzn było zapalenie płuca w sytuacji braku lekarstwa.

Obóz Szepietowo

Obóz Szepietowo był położony w odległości 14 km od miasta Borowice i 7 km od rzeki Msty. Obóz znajdował się na pustej przestrzeni /rodzaj stepu, miejscami grunty orne, brak jakiegokolwiek drzew/. Obóz został wybudowany na początku lat trzydziestych lub wcześniej podczas tworzenia kolchozów. Przywołano tu i osadzono opornych, według słów nadzorców - "przeciwników kolektywizacji".

W odległości około kilometra od obozu znajdował się ciąg wyrobisk - dołów prostokątnych o wymiarach: długość 50-100 m, szerokość 30 m, głębokość do 10 m.

Wyrębiska te ciągnęły się w linii prostej po najniższym terenie na przestrzeni kilku lub może kilkunastu kilometrów. Bardziej rozmowni konwojenci obiecał^{li} w tajemnicy, że to odcinek kanału Białomorskiego, który był budowany przez "przeciwników kolektywizacji i innych buntowniczych" przed drugą wojną. O tym, że ludzie z obozu coś kopali świadczą fakt, że pozostały wyrębiska zalane wodą. Czy rzeczywiście miał to być kanał, czy był to tylko kanał - fikała - miejsce bezsensownej pracy dla zaangażowania ludzi - nie umiemy odpowiedzieć. Na nasze pytanie, gdzie obecnie są tamci budowniczowie, konwojenci wskazywali na wzgórze o powierzchni około 2 hektarów. Rzeczywiście przy kopaniu dołów na groby naszych zmarłych kolegów natrafiono na kości ludzkie. Ilu było tych budowniczych - trudno określić, ale liczba ta osiągała na pewno setki, a może i tysiące. Konwojenci znali sprawę również tylko ze słyszenia i niechętnie mówili na ten temat. Ale powtarzali wytarty kawał: "aniegdoczyki Białomor kanał pestroili". Widocznie była to anegdota krążąca w kręgach NKWD-ystów.

Jeden z kolegów oficerów wspominał: "Pracowałem w grupie grabarzy. Kopaliśmy zimą płytkie rowy aby pochować zmarłych kolegów. Ziemia była zamrażana na ponad dwa metry. W czerwcu, kiedy ziemia rozmarsza już na około 1 m wykopaliśmy rów pod stocznią wzniesienia wysokiego na 3 metry. Nocą przyszła silna burza z deszczem, a rano, gdy przychodziliśmy do pracy, oczom naszym ukazał się następujący widok: strome stocze wzniesienia osunęło się i odsłoniło kości ludzkie pochodzące z lat trzydziestych. Wzniesienie o wysokości 3 m, długości 50 m i szerokości 10 m było zbudowane ze szkieletów ludzkich. Staliśmy się odkrywcami śladów masowej śmierci naszych poprzedników z obozu sprzed 10 do 15 lat, których powiększając układano warstwami, a następnie przysypano 60-cio centymetrową warstwą ziemi. Władze obozowe poleciły nam szybko wyrwać zasypać i tym samym zakryć ślady zbrodni".

Sam obóz Szepietowo składał się z ośmiu baraków mieszkalnych oraz budynków gospodarczych tam. kuchni, żaźni, dwóch zbiorowych ubikacji i karceru. Całość zajmowała powierzchnię 10 - 12 ha. Otoczona była tuzem pasami drutów i tzw. zoną / pojedynczy drut na wysokości 70 cm i rów/.

Tempo dewaru było takie, że wody wystarczało na ugotowanie zupy dla 2 tysięcy obywateli - o picie czy myciu nie mogło być mowy, wody na to brakowało. Była to jedna z przyczyn, że pierwszą kąpiel dla nas zorganizowano w około trzy miesiące po naszym przybyciu do obozu.

A zatem stopniowo stawaliśmy się coraz bardziej brudni, zarodkami, nawazoni w nieprzemyślny sposób bo przecież w barakach leżeliśmy na narach piętrowych jeden obok drugiego, tak ciasno, że jeżeli wstało się w nocy i uróciło z utrakcji to trudno było wciągnąć się spowrotem pomiędzy śpiących współtowarzyszy. Brak było szalików czy kocy do okrycia, spaliliśmy na deskach.

Ową pierwszą kąpiel opisał kolega "P" w swoim esaju: "Kolejno dziesiątkami wzięło nas do kąni. Kазano oddać ubranie do odzieżalni i przejść nago do dużej sali, gdzie do drewnianego korytka dano 1 litr wody na osobę i kosteczkę wielkości ^{kostki} cukru miękkiego mydła. Po umyciu głowy, rąk, twarzy i rąk i pomazaniu czymś mydłem zabrakło wody, żeby to myć". Jedyne częściowo można było zgarnąć trochę wody z siebie. Odzieżalnia była opalana tzw. "koczmi" czyli fascyną wiklinowo-olszynową, po którą goniono nas 7 kilometrów w jedną stronę ^{chy} każdy przyniósł wiązkę tego na plecach. Stąd też i z braku opału temperatura była w większej części odzieżalni zbyt niska, żeby wszyscy zgineć z naszego odzienia, a zatem byliśmy w dołowym ciągu brudni i nawazoni. Zbliżała się wiosna i pogarszająca się stale warunki musiały spowodować epidemię i masowe zgony."

- W innym fragmencie wspomnień kolega "P" pisze:

Druga połowa zimy 1945 r. obóz Szepietowo - bezdrzewny step, do najbliższej osady kilka kilometrów. Goniony wiatrem śnieg zasypał drogi, chociaż ogólnie nie było go zbyt wiele. W takiej sytuacji oddział ludzi skulonych z zimna idących po tzw. "kozy", wyglądał nieczłowiecznie. Przypominały się opowieści z książek o zesłaniach na Sybir z 1864 roku, podanych wzmianki o śniegach, a to już, rok 1945, po bokach konwojentów z karabinami uzbrojonymi w długie spiczaste ruskie bagnety. Po kocy chodziło się do obozu bagien, około 7 km, gdzie rosły krzaki olszyny, brzozy i wierzb. Tam już przygotowane przez innych, około trzy metry długie wiązki wieszano się w pęczak, zarzucało na plecy i z powrotem.

Niejednokrotnie dwa razy w ciągu dnia oddział około 150 ludzi był goniony po Zosy. Za drugim razem niektórych trzeba było prowadzić lub dowieść do obozu sanitarnego. Byliśmy słabi z głodu.

Konwojenci w pierwszych dniach odnosili się do nas dla /konwojentów zmieniano co pewien czas/, później, po stopniowym wyjaśnieniu, kim jesteśmy, że jesteśmy Polakami, którzy walczyli z Niemcami o wolność ojczyzny, często następowała znaszna poprawa, ostatecznie nie zawase. Zależne to było od danego człowieka. Od początku dało się zauważyć, że ludzie ci byli celowo tylko informowani, jak zwykle, przez / partyjnych "politruków". Mówiono im, że jesteśmy "balazymi przestępcami", których należy się bać i dobrze pilnować.

W obozie po powrocie należało jeszcze odbyć apel, tzw. "przewierkę". Na mrozie przed barakami stało się piętkami około godziny.

Jednego razu "przewierka" przeciągała się, staliśmy już kilka godzin zmęczeni do nieprzytomności rozeszła się wieść, że stan w obozie się nie zgadza, wreszcie że uciekło " trzech z chłoborieczki". Po jakimś czasie wyszedł lejtnant Rodin i oznajmił, że " uciekinierzy zostali pojmani i sądzeni - w ZSSR takie przewinienie jak ucieczka jest karane śmiercią". Po trzech dniach uciekinierów przeprowadzono do obozu i zamknięto w karczerze. Nikt od tamtej pory nie widział ich więcej. Niektórzy konwojenci wspominali, że uciekinierzy byli " przepuszczeni przez szereg " tj. wszyscy z ochrony obozu ustawiali się w dwuszneregu ó krak od siebie. Uciekinierzy musieli przejść przez ten szereg a każdy żołnierz w szeregu miał obowiązek bić go, dopóki dopóki uciekinier jest przy nim. Czy wówczas zostali oni zabici, dokładnie nie wiemy.

Innym znanym przypadkiem ucieczki była " Ucieczka Kisielewskiego".
Było to przedwieśnią 1946 w obóz Szepietowo. Z obozu zbiegł kolega ~~człowiek~~ nazwiskiem Kisielewski. Po kilku dniach trupa zmarłego na katedrze na placu centralnym w obozie. Dowiedzieliśmy się, że Kisielewski do obozu dostarczono żywego i dopiero tu został zastrzelony z pistoletu małokalibrowego przez lejtnanta Rodina. Zgoniono wszystkich z obozu, aby obejrzeliby zwłoki. Najbardziej znalazł zastępcę komendanta obozu, ^{Draps} / żołnierz Wehrmachtu, Volkadeutsch z poznańskiego, wielki drań, za cę chyba piastował tę funkcję/

On wepół z Rodinem kazał ludziom pokochać ślabką dokoła zabitego kolegi, aż opadli z sił. Na tych którzy padli na śnieg i nie mogli się podnieść, stawiali nogami i sznurkami do dalszych szkodów. Wielu pomimo kopnięć nie mogło dalej się poruszać.

Na drugi dzień zrobiono w obozie ^{przebieg} "próby" w obozie wykonywano, co pewien czas/ z wypędzaniem ludzi poza obóz. Ustawiono nas wszystkich ciasno obok siebie w dolinie o powierzchni około hektara. Pokoła na nagich wzgórzach ustawiono karabiny maszynowe, a następnie kazano wszystkim położyć się. Mieliśmy wrażenie, że to już koniec, że jak w Katyniu wystrzelają nas tu w tej dolinie. Tak leżeliśmy kilka godzin czekając kiedy nas wymordują, marną stopniowo, że temperatura była w pobliżu zera. W miarę odrętwienia stawaliśmy się obojętni. W tym czasie zrobiono szczegółową rewizję w barakach i w całym obozie. Znalaziono nawet rzeczy schowane w ścianach baraku, ponieważ odrywano oszalowania ścian. Zrywano deski nar, roz- bierano ceglane piece. To co znaleźli strażnicy obozowi nie mogło dla nich przedstawiać żadnej wartości; tylko dla więźniów były to skarby. A mianowicie; narzędzia codziennego użytku, w postaci, grzebieni, nożyków własnej roboty, różańców, jakichś szydeł, igieł, pilników i innych tego rodzaju rzeczy. A zatem rewizja miała na celu utrzymanie nas w strachu, pokazanie, że system działa i zapewne utrzymanie w gotowości czujności postawionych nad nami strażów.

Innym razem lejtnant Rodin na "próbie" stwierdził, że brakuje 23 osób. Staliśmy w łocie na deszczu kilka godzin. Wreszcie jeden z komendantów polskich dowodziawszy się o co Rodinowi chodzi, dlatego nie pozwala rozpuścić ludzi do baraków, zapytał czy doliczona są 23 ciała zmarłych, leżące od kilku dni w ziemi - obozowej trupiarni. Nie wiadomo czy Rodin nie zrobił tego celowo. Wiele razy stwierdziliśmy różne cyniczne pocunienia NKWD-ów. Tym razem wydawał się bardzo zdziwiony. Mieliśmy w nogach kilka godzin stania na wesołym mroźnym deszczu, bolały stopy, wielu zachorowało na gripę i zapalenie płuc, a suszenie obozowych rzeczy i wotowanych futerek trwało w warunkach obozowych kilka dni.

W tym czasie śpiewaliśmy jeszcze na "przewierkach" pieśń partyzancką, zwaną modlitwą partyzancką.

" O Panie któryś jest na niebie
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń.
Wołamy z wszystkich stron do Ciebie
O polski dom o polską broń.
O Panie skrusz ten miecz co siecze kraj
Do wolnej Polski nam powrócić daj
By stał się kródkim naszym siły
Nasz dom nasz Kraj "

Dotem zabroniono śpiewać tej pieśni. Jeden z obywateli kapusiów przodemmaszył politrukowi słowa tej pieśni. Jednego razu politruk Sasin kazał się wszystkim zebrać na centralnym miejscu w obozie. I rozpoczął: " Wojna skończyła się w Polsce ~~mało~~ jest nowa władza polska - a po wypędzeniu Niemców otot miecz który ciopał nasz kraj ostalsza skruszon". Następnie zagroził: " Ten kto będzie śpiewał tę pieśń, lub ten polski komendańt baraku, którego ludzie będą śpiewali tę pieśń, pójdzie siedzieć do karceru! Od tej pory zaprzestaliśmy śpiewania na "przewierkach" modlitwy partyzanckiej.

Stopniowo stawaliśmy się coraz bardziej obdarci, ponieważ od początku, gdy wychodziliśmy do pracy w miejsca, gdzie pracowali cywili Rosjanie, wymienialiśmy nasze polskie odzienie na chleb, czosnek, marchewkę, cebulę. Na przykład za buty oficerki można było dostać 2 kg chleba, 10 stakanów marchewki i jeszcze kilka główek czosnku. Za jesionkę podobnie. ~~ale~~ ^{ale} to się jednak wiązało z koniecznością założenia jakiegoś kacha, podartej sufajki czy butów na drewnianych podesskach które wytwarzali obywateli szewcy. Ale nikt wtedy nie dbał o wygląd, każdy ratował życie, poza tym wiedzieliśmy się że czosnek jest lekarstwem przeciw szkarłatowi.

Bywały okresy kiedy nie cierpieliśmy tak bardzo, na przykład w okresie letnim. Od pluskiew usiokaliśmy w ciepłe noco na zewnątrz i spaliliśmy pod barakami. Czasem dawano nam sienniki do spania. W takich momentach wyżeniali się wopaniiali gawędziarze, np. wąż spod Kolbuszowej wygłaszał prolokcje z historii Polski, podejmowano również inne tematy o charakterze naukowym, na przykład dotyczące geografii.

Pamiętam opowieści sierżanta Barana jednego z ~~obozowiczów~~ ^{obronców} Westerplatte - na tej podstawie została przygotowana w obozie Szepietowskim sztuka pod tytułem "Obrona Westerplatte".

Okręcano był zorganizowany chór i orkiestra, były popis indywidualne, śpiewano piosenki przy akompaniamencie gitary. Niektórzy obozowicze pisali pamiętniki, których jednak nie udało się wywieźć do Polski, zostały przechwycone przez NKWD.

Ksiądz Kornilak przeprowadzał w obozie zbiorowe modlitwy, spowiedzi i komunie św., oraz msze święte /naczynia liturgiczne zostały wykonane przez obozowiczów/. Szczególnie uroczyste były msze w święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. Chór śpiewał kolędy i inne pieśni kościelne. Wytwarzała się niepowtarzalny nastrój, spotęgowany nieprzepartym pragnieniem powrotu do Kraju i swoich bliskich. Ta duchowa więź wyzwalała szlachetne uczucia, jednoczyła nieraz na co dzień skłóconych, zmęczonych ludzi. Powstawały trwałe przyjaźnie, pozwalające przetrwać późniejsze nieraz bardzo trudne chwile w życiu łagierników. W tych momentach odradzało się to co zostało wnaszane za pomocą "techniki głodu". Nawet więcej - nasze uczucia do ojczyzny wzmożły się przez świadomość jej utraty. Jej obraz zachowany w naszych wspomnieniach wzbogacił się o te wartości, których przedtem nie dostrzegaliśmy.

Była w obozie też grupa tzw. "politruków", której przewodniczył łagiernik Szpil, ponadto Moryc i inni - kilka osób. Niektórzy podobno w kraju byli działaczami lewicowymi lub komunistami. Otrzymywali z naszych rąk dodatkową żywność, za działalność w formie partyjnej. Nikt nie chciał ich słuchać, grupa ta nie odegrała żadnego znaczenia w obozie.

Obóz Szachtowy

Obóz ten, którego nazwę Szacht^{lager} określili nasi przeznicy - jeńcy niemieccy grupował więźniów pracujących w miejscow^{ych} kopalniach - szybach czyli szachtach. Jeden z naszych kolegów opisuje:

Od początku^{pracy} w obozie zostałem przydzielony do brygady złożonej z 20 - 23 łagierników pracujących na tzw. Szachcie 103. Szachta ta była oddalona około 3 km od obozu. Płocówkę tą przejeżdżaliśmy po jeńcach niemieckich.

Był to szyb, studnia pionowa o wymiarach jakieś 6 x 6 m o głębokości około 30 m. Studnię tę pogłębiało czterech do sześciu żagielników na zmianę. Schodzili oni po drabinach na dno studni. Do studni było spuszczone na kołowrocie początkowo wiadro o wymiarach 1,2 wysokości i około 1 m średnicy, w drugim roku zainstalowano dźwig elektryczny. Studnię drążyło się w łupkach skalnych średniej ^{średnio} ~~średnio~~ twardości, konieczne było odbicie każdego kawałka gruntu komet lub kilofem. Największym nankamentem tej szachty dla pracujących był silny napływ wody do studni. Bywały okresy, że fontanny wody tryskały aponiedzy drewnianych ram stanowiących obudowę szybu - studni tak że pracujący czkownik na 15 do 30 minut nie mógł na sobie suchego skrawka odzienia. Miły zjeżdżającym na dół dawano gumowe buty i białe podobne do brzośkowych ubrania, jednak tak silnie nabierające wodę, że nie miało znaczenia czy się założyło tzw. "pintak ochronny" czy też nie. Człowiek z dna Szachty 103 wychodził całkowicie przemoknięty. Na górze była zima 20 do 30 ° mrozu. Po wyjściu ze studni, na końcu zmiany trzeba było stać w szeregu aż komwojent policzył, a następnie maszerować w szeregu 3 km do obozu.

Przed bramą obozu ponowny postój, tu znówu liczenie, nie-raz trzeba było czekać bo nie było oficera sprawdzającego stan grupy na branie. Następnie wieczorny apel ogólnoobozowy trwający co najmniej godzinę, nie mogło być mowy aby został ktoś w baraku. Przed każdym barakiem musiał być ustawiony piątkami szereg ludzki do czasu zakończenia liczenia i ogłoszenia, że stan obozu się zgadza. Nierzadko staliśmy na mrozie i dwie godziny poniósł oficer dyżurny nie mógł doliczyć się stanu. Nawet mając suche ubranie przemarzaliśmy na tych apelach - młody czkownik nie miał czasu przetrwania.

Szczególnie w pierwszym roku w marcu, kwietniu 1945 roku brygada szachty 103 była uzupełniana co tydzień.

Poniedziałek, wtorek, środa i z brygady uflyło 10 do 12 osób. Z wysoką temperaturą ponad 35° można było się zgłosić po pracy do lekarza i zostać skierowanym do szpitala. W szpitalu, z uwagi na wycieńczenie ogólne i brak lekarstw, chorzy często umierali. Jeśli komuś udało się wyzdrowieć, szedł do innej brygady roboczej.

Bywały tygodnie, że w sobotę zostawało nas na szachcie 103 zaledwie 8 osób: brygadier, dwóch pompianzy obsługujących pompy elektryczne zainstalowane na wyższych piętrach tj. 3 - 6 m nad dnem studni, dźwigowy tzw. lebiodeczyk pracujący na górze oraz 4 stałych, bardziej wytrzymałych i mających ukryte dwa ubrania na zmianę, które ratowały przed całkowitym przemroczeniem i przemarznięciem.

W ten sposób przepracowałem na Szachcie 103 sześć miesięcy i byłem świadkiem tego, ile to urządzenie do zabijania ludzi pochłonięło ofiar. Najbardziej krytyczne były zimowe miesiące 1945 roku: luty, marzec i kwiecień. Wówczas z brygady Szachty 103 60 osób trafiło do szpitala z wysoką temperaturą, a stamtąd większość do kostnicy.

W tym czasie obsada szpitala lekarska i sanitarna w obozie Szachtowym w większości złożona była z Niemców, którzy dbali przede wszystkim o swoich, kosztem innych łagierników. W szpitalu ważne było otrzymanie ciepłego okrycia czy też przydziału skąpej ilości sulfidaru. Jeżeli ktoś przeżył, trzeba było specjalnych zabiegów, aby odzyskał swoje ubranie, które Niemcy zawsze, jeśli było w trochę lepszym stanie, dawali swoim ludziom. Dlatego każdy z obozowiczów starał się szpitala unikać.

W końcu marca 1945 r. do obozu szachtowego przysłała kolejna grupa polska z Szepietowa, wymieniająca jeńców niemieckich, których odsyłano do innego obozu. / Niemców zostało niewielu, ale latem 1945 r. ich liczbę znacznie ^{powiększyli wjeździ} ~~powiększyli wjeździ~~ do niewoli oficerowie z armii walczącej w Kurlandii/.

W przybyłej grupie znajdował się dr Chornowski. Przydzielono go do pracy w obozowym szpitalu, gdyż i tu Polacy stopniowo przejmowali funkcje medyczne.

Leków brakowało jak dawniej, jednak doktor Chornowski robił co mógł, pracując po 18 godzin na dobę. Bywało, że chcąc zatamować krwotok gruźliczy, z braku środków wstrzykiwał powietrze pod skórę. Stosował przeróżne środki i metody, aby ratować umierających. U schyłku zimy doktor Chornowski zdołał przekonać lekarki rosyjskie i pozostawił w obozie około 400 ludzi jako niezdolnych do pracy - co mógł zrobić naczelny lekarz obozowy. Fakt ten komendant obozu uznał za sabotaż ze strony doktora Chornowskiego i kazał go zamknąć w karcerze.

Karcer to budyneczek z pomieszczeniami 1 x 1 x 1 m, w których ludzie sanykano pojedynczo w samej bieliźnie pomimo mrozu -20^o - 25^o C. Od niechybnej śmierci lekarza uratowali obozowicze wciskając do karceru kożuch. Następnie w wyniku interwencji lekarki rosyjskiej u władz wyższych, dr Głornowski na drugi dzień został zwolniony i wrócił na zajmowane stanowisko lekarza obozowego. Został zmieniony rosyjski komendant obozu, co nie miało większego znaczenia, ponieważ przyszedł kolejny NKWD-ysta gotów wypełnić najbardziej zbrodnicze rozkazy. Z nastaniem cieplejszych miesięcy nastąpiła poprawa, już nie tak wielu uległo przeziębieniom.

Na Szachcie 103 były też wypadki zatrucia gazem. Jeden z takich wypadków miał szczególnie tragiczny finał. Uległo zatruciu dwóch kłagorników pracujących w dole. Na wieść o tym jeden z oficerów polskich o nazwisku Kostecki pełniący funkcję dowódcy kompanii zszedł szybko w dół bez maski gazowej / maski nigdy tam nie było/ aby ratować tych ludzi. I on również poniósł śmierć w gazie.

Inna z grup pracowała na szachcie ~~Nekłonnej~~. Brygada ta złożona była z około 64 osób. Zejście do kopalni było pochyłym korytarzem, z stąd nazwa "Nekłonnaja", ale był również w późniejszym okresie pionowy szyb zjazdowy. Węgiel podobny raczej do kamienia koloru granatowego, salegał w cienkich warstwach 30 - 60 cm, więc budowano niskie korytarze, w których klęcząc lub leżąc trzeba było wydłubywać ów węgiel kilożem.

Był on bardzo niskiej jakości, żarzył się prawie nie dając płomienia, a pozostałość po spaleniu, niemal w tej samej ilości stanowił popiół. Węgiel ten w krótkim czasie po wydobyciu rozpadał się na miaz, który nasypywany na ^{palący się} węgiel drzewny raczej gasił ogień.

Praca w kopalni była prowadzona na trzy zmiany, poza naszą 64 - osobową grupą pracowały głównie kobiety rosyjskie, przeważnie mające wyroki skazujące na pracę w kopalni, oraz duży procent ludzi o mongolskich rysach twarzy z południowych republik. Ludzie ci również zostali tu przywiezieni do pracy na mocy wyroków skazujących na zsyłkę za jakieś przewinienia.

Praca była bardzo ciężka, przede wszystkim z uwagi na pozycję kłęczącą lub leżącą przy kopaniu. Wiekność korytarzy była wilgotna, a niektórymi wręcz płynęło błoto. Stąd problem zawilgocenia i przemoczenia, jedynego ubrania, w którym następnie trzeba było godzinami stać lub iść w szeregu piątkami na mrozie, stąd wysoka zachorowalność i śmiertelność. W obczie ubrań nie dało się wysuszyć w okresie zimowym, natomiast latem ogromna ilość pluskiew uniemożliwiała wypoczynek po pracy.

Wydobywanie węgla, jak już zaznaczono, bardzo niskiej jakości, ograniczało się do kilku wózków, w czasie jednej zmiany. W sumie na dobę, trzy zmiany wydobywały nie więcej niż 5 ton. Natomiast prasa miejscowa pisała chętnie, że w kopalni "Nakłonnaja", dzienne wydobywanie wynosi 25 wagonów 25 - tonowych.

A jeszcze większe zdumienie wzbudził w brygadach pracujących w szachcie 102, gdzie wydobywanie było jeszcze mniejsze - fakt, że ^{nie}otwarcie nowej części korytarza tej szachty specjalnie przywieziono z zewnątrz dobry węgiel. W momencie zbliżania się komisji wysokiego szczebla, która miała przeciąć wąską otwierającą tę część kopalni, wyjechały wagoniki załadowane węglem ^{z kopalni} z drugiego końca ZSRR.

Częściowa repatriacja, transport na Syberię

W końcu maja 1945 roku do obozu w Szepietowie przyjechała grupa tzw. "śledzawicieli". Rozpoczęli ponowne "doprecsy" to znaczy przesłuchania. Stopniowo sparszali jakieś listy. W 1946 roku pojechali pierwsze grupy do Polski. Jakimi kryteriami kierowali się selekcyjni, trudno zgadnąć, ale prawdopodobnie decydujące znaczenie miała w dalszym ciągu siła oskarżenia zapisanego w aktach, na przykład z ul. Piaskowej w Wołominie lub z więzienia w Siedlcach czy Lublinie. Często mógł to być przypadek. Na miejsce odsiedlonych do kraju, do Szepietowa sprowadzono grupę Polaków z Jagły.

W lipcu 1946 r. polskich łagierników z obozów Szepietowo, Stadtlager i Waldlager w liczbie ponad 200 osób /głównie z Szepietowa/ załadowano na transport.

Jak zwykle były to wagony towarowe z narami piętrowymi wewnątrz i z murami kłocznymi - stały pociąg do przewozu ludzi.

Cały czas mówiono nam, że jedziemy do Poloki, do domu. Najpierw pociąg jechał na północny wschód całą dobę, po czterdziestu godzinach dojechaliśmy do Wołogdy. Wówczas stało się dla nas jasne, że wiozą nas nie do kraju, a dalej w głąb Rosji. Początkowo sądziliśmy, że z Wołogdy jedziemy w kierunku Archangielska, lecz w następnym dniu zorientowaliśmy się, że jedziemy na Kirów, a zatem kierunek Syberia.

W ŁAGRACH OKRĘGU ŚWIERDŁOWSK

Przy wyrębie tajgi, głodówka i strajk

Pociąg jechał niezbyt szybko, ale prawie bez postojów. Rozciągające się przed nami widoki to nie kończący się step, to znów tajga - pustkowia. Każdą nieco większą miejscowość poznawaliśmy z daleka; gdy ukazywały się baraki, druty i wieże strażnicze to wiadomo - obóz, a za nim będzie miasteczko. W ten sposób zaznajamialiśmy się z "Archipelagem Gułag".

Kirów, ^{Penn} Penn, wreszcie z okolic Świerdłowska wyjechaliśmy w jednotorową linię w tajgę. Po kilku godzinach postój. Tu nas wyładowano z wagonów o świcie i poprowadzono drogą leśną, która odcinkami przechodziła przez mokradła. Szło się po ukłóconych okraglakach lub deskach, z których zejście groziło utonięciem w bagnach. Szliśmy od świtu przez cały dzień. W nocy dano nam kilka godzin posiedzieć w lesie, Koło południa dotarliśmy do obozu.

Znowu druty i wieże strażnicze. Baraki drewniane jakby bardziej nowe niż w Szepietowie, jednak znowu w każdym zakładzie przychłupki.

Po kilku dniach pierwszą grupę poprowadzono do lasu. Dano piły i po przygotowanych świeżo wytyczonych liniach, kazano wykonać przesieki o szerokości około 2 m. W ten sposób wydzielono obszar lasu około 10 hektarów. Tak rozpoczęliśmy wyręb lasu / tajgi/.

Jedzenie w obozowej kuchni to jak w poprzednich obozach, 60 dkg gliniastego chleba i trzy razy dziennie zupa - prawie sama woda z solą.

Byliśmy już wycieńczeni, ponieważ na takim jedzeniu przeżyliśmy prawie 2 lata.

Praca w lesie była bardzo ciężka. Wyznaczono nam normę na dwóch, w metrach przestrzennych ściętego pnia drewna, posiętego na dwumetrowe odcinki i ułożonego w stos. Ile tego miało się wykonać nie pamiętam. Ale pamiętam, że było to znaczenie ponad nasze siły. Dlatego wymyślano nam od przeróżnych, grożono że w ogóle nie dostaniemy jedzenia, "jak można w Związku Radzieckim nie wykonywać normy".

Po miesiącu byliśmy tak wycieńczeni, że większość dostała tzw. "kurzej ślepoty" tj. po zachodzie słońca traciliśmy wzrok, nie mogliśmy się poruszać, byliśmy ślepi. Do ubikacji mieszącej się na zewnątrz baraków, tych których opanovała kurza ślepota, inni musieli odprowadzać i przyprowadzać, ponieważ niewidzący mógł zabłądzić i zbliżyć się do drutów, a tam groziło mu zastrzelenie przez wartowników. Z każdym dniem tych widzących było mniej.

W tej sytuacji zaczęliśmy zastanawiać się nad rozpoczęciem protestacyjnej głodówki, z odmową wyjścia do pracy. Szczególnie aktywnymi inicjatorami nawożącymi do głodówki byli, kol Kiliasewsk, znany działacz komunistyczny w kraju, następnie polski następca komendanta obozu Kapkowski, por. Pieniak - "cichociemny" oraz kolega Zygmuntowicz. "Dziś kolacji nie przyjmujemy" - dowiedzieliśmy się po powrocie z pracy w lesie. Trudna to była decyzja. Położyłem się na nasy, a najtrudniej było w momencie, gdy usłyszałem wołanie głodzącej grupy po chleb i supę. Ale zdecydowana większość nie pobrała kolacji. W nocy prawie nie dało się spać. Co pewien czas ktoś przynosił nowe wieści, snuliśmy domysły. Faktem było, że umocniono strażę na wieżyczkach, na których ukazywały się lufy karabinów maszynowych. Teraz po dwóch latach, wiedzieliśmy, że ta władza dla buntowników nie lubi być tolerancyjna. Powróciły opowieści o Katyniu.

Rano po supę nie stawiał się prawie nikt, z wyjątkiem dwóch kapusiów. Próbowo officer dyżurny biegał i nawoływał do pobierania jedzenia i wyjścia do pracy. Natomiast w porze obiadowej politruk rosyjski chodził i zachwalał podwójny obiad, ale łagiernicy już nie przyjeżdżali. *przynosił* cuforie walki, prawdopodobnie prawie nikt po obiad nie przyjeżdżał.

Przed wieczorem przyjechał do Swierdżowsk przedstawiciel centrali Zagrów okręgu Swierdżowsk. Na centralnym placu Zagru zarządzono zbiórnię wszystkich Zagierników. Na ustawionej beczce po kupaćcie stanął ów przedstawiciel i rozpoczął mowę, że dowództwo okręgu dowiedziało się o licznych nieprawidłowościach oraz nieporządku w naszym Zagrze, stąd jego przyjazd, chęć wysłuchania nas i dokonania zmian na lepsze. Prosi, aby rozjeżdż się i powołać komitet, który przedstawi nasze żądania, a przez ten czas wszyscy powinni zjeść obiad.

Komitet wybrano natychmiast bez rozchodzenia się. Przewodniczącym został kap. Jan Kaphowski który miał jeszcze mundur polskiego oficera. Inne osoby w składzie to wspomniany już Kiliżczuk, Ostrowski - były ambasador polski w Japonii, inż. Potykowski, por. Pieniak, Woźniak, por. Bagiński - lotnik inwalida strącony w 1939 roku w boju nad Warszawą. Imion tych kolegów nie pamiętam.

Na desce - /z uwagi na ewidentny brak papieru/ zostały wypisane pytania i postulaty komitetu i na powtórny apel przekazane przybyłemu oficerowi. Oto niektóre z nich:

1/ W jakim charakterze jesteście przetrzymywani już dwa lata w ZSRR.

Odpowiedź: Jesteście internowani / trzeba wyjaśnić, że do tej pory nazywano nas różnie - "wojenne plemię" lub "internowani" lub inaczej w zależności od okoliczności.

2/ Dlaczego nie mamy prawa do pisania listów i porozumienia się z rodzinami w kraju?

Odpowiedź: Jestem zaskoczony. Jutro otrzymacie kartki i na nich proszę pisać do rodzin, kartki te zostaną niezwłocznie wysłane.

3/ Dlaczego nie udostępnia się nam polskiej prasy i polskich książek?

Odpowiedź: Formalnie nie ma zakazu, ale są trudności organizacyjne. Tu w głębi Rosji nie ma polskich gazet.

4/ Czy wiadomo jest obecnie Rządowi Polskiemu, że my jesteśmy tu przetrzymywani w Zagrze i w jakich warunkach?

Prosimy o przyjazd przedstawiciela ambasady polskiej w ZSRR lub przedstawiciela Rządu Polskiego.

Odpowiedz: Wszystkim nam, Polakom i Rosjanom po wojnie żyje się niełatwo. Poza tym nie wiem, czy przedstawiciel Rządu Polskiego chciałby z wami rozmawiać. Przekażę jednak waszą prośbę.

6/ Dlaczego w obozie nie ma żadnych lekarstw? Jest to powód wysokiej śmiertelności / od wyjazdu z Szepietowa zmarło 7 osób/. Obecnie cierpiamy na szereg chorób - ostatnio masowo zapadamy na "kurzę ślepotę".

Odpowiedz: Medikamentów brak w ZSRR nawet w służbie zdrowia i w szpitalach, gdzie leczą bohaterów wojny ojczyznianej, a oni mają pierwszeństwo. No, ale spróbuję przedstawić sprawę, może się da coś zrobić w porozumieniu z waszymi lekarzami.

7/ Co będzie z wyżywieniem? Jedzenie jest poniżej wszelkich dopuszczalnych norm.

Odpowiedz: Wiem o tym i już z sobą przywiozłem samochód prowiantu, kaszy, maseł i innych produktów. Przyrzekam, że dotychczasowy stan już się nie powtórzy.

8/ Dlaczego polscy oficerowie nie korzystają z zaprowiantowania wynikającego z konwencji Genewskiej, którą ZSRR podpisał?

Odpowiedz: Oficerowie należne zaprowiantowanie otrzymają.

9/ Dlaczego za pracę nie otrzymujemy odpowiedniego wynagrodzenia?

Odpowiedz: Wydajność wasza jest tak mała, że więcej kosztuje wasze utrzymanie. Gdy wydajność będzie większa można mieć nadzieję na zapłatę.

10/ Kiedy wyjedziemy do Polski?

Odpowiedz: Pytanie trudne - jest to zależne od Rządu Polskiego, którego jesteście depozytem, kiedy was zapotrzebuje, ale na pewno wrócicie, aby odbudować wasz zniszczony kraj.

Postulatów było prawdopodobnie 28 lub 32, ale dziś trudno odtworzyć wszystko dokładnie.

A oto, jaki był dalszy tok załatwiania naszych postulatów po zakończeniu głodówki.

Rozdano nam kartki pocztowe. Każdy szybko napisał do rodziny, ale niestety dosłownie ani jedna kartka nie dotarła do adresata. Była to więc mistyfikacja mistrzów z NKWD.

W sprawie wyżywienia coś drgnęło, a najważniejsze, że wydawano po 1 dkg masła na osobę w celu zwalczania kurzej ślepoty, która była następstwem braku tłuszczów i witaminy A w naszym pożywieniu. Niektórzy już po tygodniu tj. po zjedzeniu sześciu takich porcji masła, widzieli normalnie. Ale byli i tacy, którzy z kurzą ślepotą wrócili do kraju. Jednak to, że te odrobiny masła otrzymaliśmy przez około miesiąc było dużym osiągnięciem.

Przestaliśmy chodzić do pracy w lesie.

Obóz Krasne

We wrześniu 1946 r. przeniesiono nas do obozu w Krasnym 30 km od Swierdłowska. Łagier w Krasnym był znacznie ^{lepiej} wyposażony, wydano nam sienniki i koce, łaznia miała dostatek ciepłej wody oraz działającą odzieżalnię, odtąd nie byliśmy tak pogryzieni przez wesy. Nie było tak dużo pluskiew w barakach, działała pralnia, bielisz, można było nawet czasem wymienić koszulę na mniej podartą. Jedzenie było nie sō lepsze. Część z nas wysyłana była do sowchozów do pracy, oraz do olbrzymiego kombinatu w Swierdłowsku. "Urałski zawód Tiażoło Maszyno Strajenia" Do tego zespołu fabryki w Swierdłowsku, jak również do kołchozów i sowchozów, brygady ^{zich} dojeżdżały pociągami.

Nigdy jednak nie przybył do nas przedstawiciel Ambasady ~~Polowej~~ ^{polskiej}.

Rozpoczęto śledstwo w sprawie ustalenia winowajców odpowiedzialnych za zorganizowanie głodówki. Członków komitetu wybranego na wniosek przybyłego oficera NKWD, i innych, razem 40 osób, wywieziono z Łagru i osadzono w więzieniu w Swierdłowsku w bardzo złych warunkach. Niektórzy byli bici, przetrzymywani w ciemnych piwnicach, często nawet w wozie. Na jesieni 1947 roku dołączono ich do nas i razem przekroczyliśmy granicę do kraju obecnie nie ma żadnego z nich w śród nas i relacja z przetrwać tej grupy jest niepełna.

Pracy wykopkach ziemniaków w przodującym kraju ówsiata

We wrześniu 1946 roku już z Łagru w Krasnym, dużą grupę, bo około 400 osób, kierowano codziennie do kołchozu, Bałtym, na wykopki kartofli.

obszar kartofliska był ogromny. Niektórzy twierdzili, że wynosi 500 hektarów, a może nawet tysiąc. Oprócz nas przy wykopaliskach pracowali grupy pracowników z różnych zakładów pracy w Świerdżowsku odrabiające tzw. "czyn", poza tym były tam grupy jeńców niemieckich. Nasza grupa była najliczniejsza. Kartofle kopano się szpadkami, co naszym rolnikom bardzo nie odpowiadało. W wyniku rozmów wybrano grupę kowali, którzy w miejscowej kuźni wykonywali codziennie kilkanaście motyk trójszętowych według polskiego wzoru. W wyniku tego zaczęliśmy bardzo dokładnie kopać kartofle. Mijały dni - żniży olbrzymie pryzmy kartofli na polu, ale do końca kartofliska było ciągle daleko. Po 15 września przyjechał znowu "grupa rzeczowników", jakies przedstawicielstwo wyższych władz kołchozowych z Świerdżowsku i zwracając się do polskich komendantów, wyraża swoje niezadowolenie z wyników naszej pracy. Ci z kolei tłumaczyli im, że kopujemy bardzo dużo, że trzysta kilogramów na osobę dziennie i więcej nie da się wykopać. Wysoka komisja z dalszym ciągiem była niezadowolona. Wreszcie oświadczone, że "praca jest zła" "nam nie kartofli nada nam glebtary nada". Wreszcie zrozumiano dlaczego praca jest zła z punktu widzenia urzędników wyższego kołchozowego szczebla, który premię i nagrody otrzymują na hektar wykopanych kartofli, bez zwracania uwagi na ilość tych kartofli. Dużo kartofli to tylko dla nich kłopot, bo wykopane kartofle trzeba jakoś zagospodarować na ziemi.

Na bocznicy kolejowej stacji Bałtyn podstawiono pociąg złożony z siedemdziesięciu sześćdziesięciu tonowych wagonów, które rozpoczęliśmy załadowywać. Miały one być wysłane do tzw. "Owoszechany" w Świerdżowsku. Po wykładał komisji zaczęliśmy mniej dokładnie wybierać z ziemi kartofle. Niektórzy z nas, szczególnie rolnicy, nie mogli tego przeboleć - jak to tak można niedokładnie wykopywać w dodatku przy tak wielkim niedostatku jedzenia. Wreszcie 28 września wszystkie wagony zostały napełnione kartoflami a na polu było jeszcze wiele pryzm ziemiannych. Brygady robotników ze Świerdżowsku jakoś nie przyjeżdżały. W pierwszych dniach października, jak zwykle w tym klimacie, nocą zaczęły przechodzić przymrozki - 3 do -5 stopni mrozu. Pociąg z kartoflami ciągle stał bo podobno nie było parowozu.

Przemy kartofli na polu okryliśmy łotami. Wreszcie zabrano pociąg do Swierdłowska, nocne przymrozki sięgały już - 8° zima zmarzła. Przestaliśmy kopać kartofle, których obszar ciągle był duży. Pomagaliśmy przy zwózce kartofli do kolchozu. Po dwóch tygodniach, około 15 października, brygada około 100 osobowa sortowała kartofle złożone w sieciach, / rodzaj magazynu / w " Owoszcze baza" w Swierdłowsku, ponieważ bardzo się psuły na skutek przemarznięcia. Póź zgniłe wyasypany na mroz. Z tej zmarzniętej przemy przez całą zimę były kopane i dostarczane do stołówek robotniczych. W tym czasie, wobec zmniejszonych dostaw żywności amerykańskiej w ZSRR szczególnie dotkliwie odczuwano braki produktów żywnościowych.

Pierwszego dnia, gdy rozpoczęliśmy kopanie kartofli w kolchozie Bałtym, można było rozpalić ognisko i upiec kartofle, ale już w następne dni, tylko sporadycznie dało się rozpalić ogień. Wyznaczeni cywilni pracownicy kolchozu mężczyźni lub kobiety mieli za zadanie rozrzucać ogniska i nie pozwalać piec kartofli. Twierdzili: " kartoszka gosudarstwiennaja nielzia". Byli specjalnie nastawieni przez partyjne czyniki kolchozowe.

Ze wspomnień kolegi "p" - Pierwszego dnia kończąc pracę przekładaliśmy trochę kartofli w kieszenie i chlebaki-w co się dało. Konwojenci wojskowi nie protestowali a nawet zachęcali. Po przyjeździe do Krasnego, gdy dochodziliśmy do bram obozu, zatrzymano nas, akurat na przeciw kwatery konwojentów, skąd wyszło dodatkowo kilku żołnierzy. Rozpoczęli oni nas szczegółowo przesłuchiwać i odbierać kartofle. Nie przepuścili nawet jednego kartofla z tych które chcieliśmy zanieść do łagru dla słabszych kolegów. Wsypane na spór przemy kartofle zostały zabrane do kuchni konwojentów. W następne dni nie braliśmy całych kartofli, robiliśmy z blaszki tarki, na których ścieraliśmy kartofle. Ciężko schowane w ściereczkach w rękawach, w spodniach, udało się łatwiej przenieść do łagru, gdzie gotowało się kluski w kielcach do ogrzewania.

Ciężka zima 1946 - 1947 r

Występowały silne mrozy, które przewyższały znaczne mrozy Rejonu Borowicze.

Rekordowy mróz wynosił przez kilka dni - 56°C . Tak niska temperatura była powodem zasypiania ludzi na stojąco w szeregu. W następnej chwili człowiek taki padł, trzeba było szybko udzielić mu pomocy tzn. natrzeć i przenieść do cieplejszego pomieszczenia, w przeciwnym razie groziła mu śmierć. Pierwszego dnia tak niskiej temperatury, z grupy łagierników która wyszła pod bramę, w celu udania się do pracy, po 15 minutach stania na mrozie padło około 30%, pozostali zajęli się ratowaniem kolegów. Po tym wydarzeniu przez kilka dni nie wychodziliśmy do pracy, poza teren łagru aż temperatura podniosła się do około -45°C .

Poczyżano nas do pracy w różne miejsca. Jedna grupa przebywała przez kilka miesięcy w Świerdłowsku. Była zatrudniona w pralni dla NKWD-ystów. Grupie tej udało się wysłać do kraju kilka listów oraz kilka listów otrzymać z kraju. Nareszcie do niektórych naszych rodzin dotarły wieści, że żyjemy i jesteśmy w rejonie Świerdłowska.

"O d w i l ł"

Wiosną 1947 roku tj. w trzecim roku zesłania, dało się zauważyć, że mniej nas pilnują. Przykładowo dotychczas z grupą 30 osób była wysyłana obstawa złożona z dwóch do czterech konwojentów, uzbrojonych w karabiny z bagnetami. Teraz, aby zabrać nas do pracy kołchozie przyjeżdżają uzbrojeni w starą dubeltówkę cywilny konwojent, pracownik tamtejszego kołchozu.

Już w sierpniu mówiono głośno, że niebawem wrócimy do kraju. Przychodzili do łagru polityrucy, próbowali z nami rozmawiać i twierdzili że niedługo "ujedietie damoj". Wreszcie wydano zezwolenie na to, że w dni wolne od pracy, można opuścić samodzielnie łagier i udać się w otaczające nas lasy na jagody i grzyby. Były to pierwsze od prawie trzech lat samodzielne wędrówki dla tych, którzy mieli na to dość sił. Nie szedł za nimi żołnierz z bagnetem na karabinie. Zaczęła pomału wstępować w nas wiara, że może w końcu, tym razem nie będzie to kolejne kłamstwo i zwolnią nas do domu.

W końcu października 1947 roku, na bocznicę w Krasnym podstawiono 20 krytych wagonów towarowych.

W następnym dniu byli tacy, co sprawdzili, że są to wagony z narzami piętrowymi i rurami, służącymi za ubikacje, oraz żelaznymi piecykami. A zatem wagony do przewozu masowego ludzi w ZSRR. Zastanawialiśmy się tylko, czy to po nas, a jeśli tak, to gdzie nas powieźą tym razem. W łagrze wymieniali nam bieliznę na nową, podarte łachy, na nie-co lepsze po niemieckie - wojskowe sorty mundurowe, a drewniaki na stare niemieckie lub amerykańskie kamusze.

Wreszcie nadszedł dzień, gdy ustawili nas pod bramą łagru i rozpoczęli, jak zwykle, wyczytywanie: nazwisko, imię, imię ojca. Potem kazali przejść na drugą stronę bramy i udać się do wagonów około 1 - kilometra samodzielnie. W zasadzie byliśmy już wolni, ale do nas to jeszcze nie docierało. Wieczorem pociąg ruszył, przejechaliśmy 30 kilometrów na bocianię w Świerdżowsku i stanął. Znowu pytanie, gdzie nas powieźą, ale obecnie było inaczej, niż poprzednio, była tylko nieliczna załoga konwojujących, wagony były pootwierane. Pociąg stał w Świerdżowsku kilka dni. W tym czasie dołączono do nas tych czterdziestu kolegów, którzy w 1946 roku po głodówce zostali aresztowani z obozu leśnego, jako przywódcy i osadzeni w więzieniu w Świerdżowsku. Pozostał natomiast w więzieniu kol. Niedziółka, który na jesieni 1946 roku został postawiony przed sądem cywilnym i skazany na 2 lata więzienia, za kradzież kilku kartofli, które wziął podobno z działki robotniczej. Powrócił dopiero po odsiedzeniu wyroku.

P o w r ó t

Pociąg jechał tym razem inną trasą, przez Kazuń, Moskwę, Wiaźnię, Smoleńsk, Mińsk Litewski do Brześćcia nad Bugiem. Jechaliśmy około dwóch tygodni.

W Brześćciu osadzono nas w obozie przejściowym i po około 14 dniach przewieziono na stronę polską do Białej Podlaskiej. Tu przez około 4 dni wydawano zaświadczenia o repatriacji z ZSSR. Około 20 listopada 1947 roku większość szczęśliwie dojechała do domu.

Piszę większość, bo jeszcze były wypadki śmiertelne, w Brześćciu w czasie tych 14 dni przejściowego obozu, z przejeżdżenia zmarł jeden z kolegów.

A wkrótce po powrocie do domu jeden z lekarzy zjadł wieczorem 12 jaj, do rana umarł. Nie którzy ciężiej chorzy na przykład kol. Brachtfogiel, przebywali jeszcze przez kilka miesięcy w szpitalu w ZSRR /po powrocie do domu żył zaledwie trzy miesiące/. Tu dane o innych chorych są niepełne. Kilka osób pozostało w ZSRR. Podobno pochodzili z terenów przyłączonych do Związku Radzieckiego, z przedwojennego terytorium Polski, i mieli podobno obywatelstwo radzieckie. A tak naprawdę nie wiemy, dlaczego ich pozostawiono.

Po powrocie do domu nie wszyscy mieli już spokój z władzą. Jeden z nich wspomina:

Po kilku tygodniach od czasu powrotu otrzymałem wezwanie do miejscowego Urzędu Bezpieczeństwa, była podana data i godzina stawienia się. Po przyjeździe do Urzędu i pokazaniu w okienku wezwania, wpuszczono mnie za okratowane drzwi do korytarza i polecono czekać. Mijały godziny, nikt się mną nie interesował, tak przesiedziałem całą noc do rana. Rano przyszedł jakiś człowiek i ze zdziwieniem spytał " to wy tu jeszcze siedzicie? no to zaraz was załatwimy". Tak minęło następne kilka godzin. Wreszcie wezwano mnie przed jakiegoś człowieka w cywilnym ubraniu, który wypytywał: imię nazwisko, imię ojca, data urodzenia i inne dane z zyciorysu, wszystko skrupulatnie notował. Wreszcie spytał, czy mam mu coś do powiedzenia o kolegach, którzy razem wrócili do kraju. Na odpowiedź przeczącą powiedział: " No to usiądźcie jeszcze na korytarzu i pomyślcie?". Zwolniony zostałem dopiero późno wieczorem. Takie wezwania do UB miałem jeszcze przez trzy lata co kilka miesięcy, wreszcie w 1951 roku dali mi spokój. Ale były też i inne represje, na przykład przy składaniu dokumentów o przyjęcie na wyższą uczelnię wymagano tzw. świadectwa moralności. Świadectwo moralności wydawał urzędnik w porozumieniu z UB. Świadectwa moralności oczywiście nie otrzymałem.

Czy spotkała nas serdeczność środowisk do których wróciliśmy, ciekawość naszych losów i cierpień?

Był to schyłek roku 1947, gdy komiści przestali udawać, że "ciągną się władzę z demokratycznymi partiami". Choć padały jeszcze ostatnie strzały, część narodu zacisnęła tylko zęby a część włączyła się w radosną odbudowę. Większość zamknęła uszy jedni ze strachu, inni - by nie psuć sobie komfortu moralnego.

Niby słuchano nas, a jakby nie dawano wiary nam - zainicjowanym ofiarom Historii. Dlatego zamkniliśmy wkrótce za lata, zresztą sami nie wyżyłi strachu.

Gdy zmogły się znów nasze spotkania było nas już niewiele. Wspomnienia się zatarły. Zachowane okruszki pamięci niech będą świadectwem tych co tam zostali.

I tak przy porządkowaniu niniejszych zapisów wkroczyliśmy w sierpień 1987 roku. Gazeta dysydentów radzieckich "Glasnost" donosi o masowej akcji prowadzonej w ramach "glasnosti" - pośpiesznej likwidacji archiwów KGB. No cóż, historia to zbiór dokumentów.

Dlatego kończymy składać naszą kartkę historii.